



Grenze, czyli granica

Przy okazji trzydziestolecia upadku muru berlińskiego

Agnieszka Kowaluk

Tam, gdzie co roku spędzam wakacje, granica jest mało widoczna. To znaczy Bug widać, srebrzy się i przybiera za każdym razem inny kolor, kiedy idziemy na spacer na skarpę albo płyniemy po nim kajakiem. Ale żeby wyglądał jak granica państwowa? Dopiero pewnego lata w ramach tzw. Dni Dąbrosąsiedztwa zabieram dziecko na drugą stronę rzeki i w drodze powrotnej stoimy dwie godziny na moście pontonowym, w zbitej, cierpliwiej, polsko-ukraińskiej kolejce, odczuwając, że to właśnie granica.

Dla naszego dziecka to nowe doświadczenie, córka znała dotąd granice tylko jako abstrakcyjne konstrukty. „Obudźcie mnie w Polsce”, mówi, kiedy mijamy Drezno, lub pyta: „Napijemy się kawy zaraz we Włoszech?”. Nie wie, że dawno już jesteśmy za granicą austriacko-włoską, bo spała od samego Monachium. Granice (a słowo „Grenze” w niemieckim pochodzi od polskiego „granica” – jedno z niewielu, obok „ogórka”, zapożyczeń z polskiego w niemieckim) oznaczają dla naszej córki miejsca, w których przełącza się sieć komórkowa. Tylko raz, wtedy latem – również niecierpliwie przestawianie nas w kolejce przez pogranicznika w ogromnej czapie i dopytywanie, co mamy w plecaku (małe zielone jabłuszka). Plus ukraiński stempel w paszporcie, pierwszy w życiu.

Granica polsko-ukraińska, ta najbliższa mi geograficznie granica, okazała się najtrudniejsza do przekroczenia ze wszystkich granic, jakie znam. Nie znam ich zresztą za wiele, choć wychowałam się w bardzo pieczołowicie podzielonym świecie.

Trudno pisać o upadku muru berlińskiego z perspektywy trzydziestu lat, kiedy się tego upadku, jak i samego muru, w gruncie rzeczy w ogóle nie dostrzegło w czasach braku telewizora na stacji i bez internetu. Jednocześnie będąc przy tym niesłychanie zajęta zgłębianiem dramaturgii Fryderyka Schillera na pierwszym roku studiów. Niemcy w gazetach i wiadomościach tamtych dni nie były dla mnie całkiem te same, jakich doświadczałam. I te na biurku wydawały mi się nieskończenie ważniejsze.



Nie pamiętam nawet, czy jadąc pierwszy raz do Berlina Zachodniego przed rokiem 1989, przekraczałam dwie niemieckie granice. Musiało tak być. Ale działo się to w nocy, a ja byłam zbyt przejęta swoją rolą tłumaczki – nareszcie moja szkolna znajomość niemieckiego miała się na coś przydać.

A przecież fakt, że z dnia na dzień zniknęła jedna wewnątrzniemiecka granica, a tym samym świat przestał się dzielić na bloki i imperia, miało z moim życiem zasadniczy związek. Choć nie przestawiło go jakoś dramatycznie, raczej płynnie wpisało się w podjęte wtedy intuicyjnie wybory. Można rzec, że uniwersum zrobiło mi, początkującej germanistce, niewiele wiedzącej o kraju i ludziach, których literaturę połykała całymi nocami, pewną grzeczność. Nie mając już wymówki w postaci żelaznej kurtyny, rzuciłam się poznawać kraj sąsiadów. Niemcy. Już nie NRD, ale państwo o normalnej nazwie. Jednocześnie mój kraj przestał wówczas mieć w nazwie skrót przypisujący go do pewnego porządku politycznego i stał się Polską, po prostu.

Trzydzieści lat po upadku muru berlińskiego i dziesięcioleciach bolesnego zrastania tego, co kiedyś było jednością, jesienią ubiegłego roku niemieckie gazety pełne są okolicznościowych artykułów, w jakich przemawia troska nad niedokonanym wciąż zjednoczeniem, a polska prasa nadal pisze o tym, co raczej dzieli nas niż łączy z sąsiadami. Kiedy czytam jeden z tych tekstów, dzwoni komórka – niemiecki przyjaciel, który wybrał sobie początek listopada na czas dawno planowanej podróży po Polsce wschodniej, dzwoni z mojego rodzinnego miasta. Jest z nieoczekiwaną wizytą u mojej mamy, oboje pytają, co mi przy okazji podrzucić. W jaki sposób rozmawiają ze sobą, tego nie wie nikt, żadne bowiem nie mówi w języku drugiego. Jakoś najwyraźniej się dogadują, bo dwa dni później na moim monachijskim stole kuchennym lądują miód lipowy, olej rzepakowy i trzy warkocze czosnku – skarby Lubelszczyzny.

Tym, co nas łączy – tu można uspokoić nieco polityków i dziennikarzy – są przyjaźnie, relacje, rodziny, biznesy. Dzieli nas nadal niewiedza o sobie nawzajem, a także, co bardziej boli, brak zainteresowania. Istnienie przez dziesięciolecia dwóch ścisłych granic ma swoje konsekwencje. Dzieli nas więc uprzedzenia. Nie tylko te zabawne, od dawna oswojone tekstami kabareciarzy i pisarzy po obu stronach granicy. Także te, które skutecznie gaszą ciekawość. Do Niemiec? Tylko do pracy.



Do Polski? Najwyżej po papierosy na przygraniczny targ. Tak było trzydzieści lat temu, tak jest często i dzisiaj.

Co z tym począć? Pyta Polka w Niemczech. Taka, która nie przyjechała tu po pracę (w kapitalistycznej Warszawie, kiedy z niej wyjeżdżałam, było jej bardzo dużo). Ani przywieziona wbrew woli przez uciekających z PRL rodziców (jak można przeczytać w popularnych ostatnio książkach o emigracji)? W ogóle przed niczym nie uciekająca – może z wyjątkiem warszawskiego turbokapitalizmu lat dziewięćdziesiątych? Bez wujka w Berlinie Zachodnim, a nawet bez zachodnich džinsów z paczki? Taka, której nie kazano (jak niektórym) wyrzekać się języka polskiego w celu szybszej asymilacji? I która asymilować się nie zamierzała? Pozostało mi przyjąć rolę Polki i grać ją niestrudzenie. Dawać otoczeniu codziennie do zrozumienia w literackim, wreszcie bezbłędnym niemieckim, że co nieco się o nich i ich kulturze wie. Raz być miłą sąsiadką od pogaduszek i pilnowania kota, to znowu autorką pisanych po niemiecku artykułów, ale głównie tłumaczką, przenosicielką tekstów z jednej kultury do drugiej, wierzącej, że ktoś na te teksty czeka. Uczynić z polskośći – i emigracji – atut. Ustawić na półce obok siebie swojego Goethego po polsku i po niemiecku. W mediach społecznościowych zamieszczać wakacyjne zdjęcia nie z Toskanii, ale z zawianej śniegiem Chełmszczyzny. Uparcie kupować wszystkie tomy Harry'ego Pottera po polsku i po niemiecku, żeby dziecko mogło brać udział w debatach z rówieśnikami po obu stronach niewidocznej już polsko-niemieckiej granicy.

Podejmując studia na germanistyce i wyjeżdżając z małego miasta na wschodzie Polski do Warszawy – moja pierwsza migracja – przekroczyłam kilka granic na raz, nawet nie bardzo świadoma ich istnienia. Głównie tę, dzielącą moje życie dziecka od życia samodzielnej dorosłej. Dlatego otwarcie rok później granicy dzielącej Wschód od Zachodu nie zrobiło już na mnie tak wielkiego wrażenia. Świat jawił mi się bowiem odtąd jako miejsce otwierania się granic.

Przyjechałam do Niemiec już zainfekowana niemieckością, a nieustanne przekraczanie polsko-niemieckiej granicy i tłumaczenie różnic lub podobieństw uczyniłam swoim zadaniem. Stanie jednocześnie obiema nogami w niemieckiej codzienności, a także nieco z boku – natura migranta – czy raczej przechodzenie z jednego stanu w drugi, będzie już raczej zawsze moim pełnoetatowym zajęciem.



Bez dni urlopowych i weekendów. To, czy bardziej czuję się Polką, świadomą swych praw i obowiązków (bo bycie migrantką to nie tylko obowiązki integracyjne, to także sporo wolności), czy też chcę pozostać nierzucającą się w oczy mieszkanką swojej kamienicy, zależy od sytuacji, pory dnia i nastroju. Jednak to tylko ja mogę decydować o tym, czy jestem reprezentantką danej grupy, czymś wyjątkowym wśród tutejszych, czy też po prostu osobą stąd, przynajmniej chwilowo. Modne ostatnio nawoływanie publicystów, działaczy polonijnych i samych zainteresowanych do stania się w Niemczech mniej „niewidocznymi” odnotowuję i rozumiem. Jednak nie czuję, że kierowane są akurat pod moim adresem. Permanentna wrażliwość na stereotypy, żonglowanie pojęciami tożsamości, udział w życiu kulturalnym i jego kreowanie, a także odważne gotowanie dla przyjaciół (a nie każdy lubi buraki!) – oto moje obowiązki polonijne. Jestem widoczna i niewidoczna. Obstać przy byciu Polką, ale czasem lubię się z tej roli zwolnić. Nie czuję potrzeby podgląśniania muzyki przy otwartym balkonie tylko dlatego, że jest polska. Nie wywieszam flagi, kiedy „nasi” wygrają w piłkę nożną. (Choć flagę mam. Przed pamiętnymi mistrzostwami świata w roku 2006 nasza córka zrobiła nam w przedszkolu polską i niemiecką, abyśmy mogli nimi machać na kanapie przed telewizorem. Dominują w nich obu czerwień i róż indyjski – swobodna interpretacja bieli. W charakterze niemieckiej barwy „złotej” wystąpiła zaś błyszcząca posypka). Nie dokupuję filiżanek z łowickim wzorem, bo ostatnio podoba mi się biała porcelana pewnej niemieckiej firmy. Nie obdarowuję przyjaciół Śliwkami Nałęczowskimi, bo nie każdy lubi polską czekoladę, ale czasem przynoszę im w prezencie butelkę wódki Gorzkiej Żołądkowej, której zapasy mam w spiżarni.

U Nietzschego natrafiam na takie zdanie. „Kto się już odnalazł, ten od czasu do czasu powinien umieć się zgubić – a potem znowu odnaleźć (...) założywszy, że jest myślicielem”. Być świadomie kimś, po to, by nie musieć być nim stale. Świadomie stać nieco z boku, czyli analizować – jak mówi Ferdinando Pessoa – to moja strategia, by nie rozpuścić się w byciu niewidocznym. Ale też: czuć się za granicą „u siebie”, a przy tym mieć stale włączoną świadomość jej przekraczania, a także miejsca, z którego się wyszło. Thea Dorn, niemiecka autorka książki o współczesnym patriotyzmie, pisze: „Ocean możliwości tylko temu wydaje się obietnicą, kto wie, z jakiego portu wyruszył. (...) Podróż w nieznane tylko ten odczuwa jako rozkoszną przygodę, kto ufa swojemu (wewnętrznemu) kompasowi”. A socjolog Bernd Waldenfels uświadamia: „Obczyzna jest eliksirem życia. Jednak



tylko wtedy, gdy ten eliksir nie zostaje nam zaordynowany przez kogoś i gdy nie przyjmujemy go na siłę”.

Trzydzieści lat po upadku mur berlińskiego, którego w miejscu, gdzie dziś mieszkam, nieomal zresztą nie zauważono (ktoś zmartwił się jedynie, że po zjednoczeniu kraju trabanty zakorkują obwodnicę; ktoś, że Monachium przestanie być nieformalną stolicą Niemiec na rzecz Berlina), myślę dziś o tych, którzy granice przekraczają nie ze swojej woli. Tych, którzy wiedzą, że w drugą stronę nie przekroczą ich tak szybko. Tych, którzy są świadkami powstawania nowych granic. A tym, którzy je przekraczają, życzę, by dane im było spróbować eliksiru obczyzny, nawet jeśli czasem posmakuje jak gorzka żołądkowa.